Nr. 19. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 9. Maja 1846.*

Mistres Niemcewicz, Amerykanka. — O'Connel. — Leon Haber (dalszy ciąg). — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Przysłowia. — Piosnki ludu wielkopolskiego ze zbioru Fr. Wawrowskiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie pana J. Lissnera w Poznaniu.



Mistres Niemcewicz, Amerykanka.

Mistres Niemcewicz.

Wiadomo, że Niemcewicz, ułaskawiony od Cesarza Pawła, pojechał za byłym naczelnym wodzem do Stanów zjednoczonych. Pewna wdowa, przejęta żywym udziałem co do losu smutnego wygnańca, ofiarowała mu swą rękę i majątek. Przyjął to Niemcewicz; atoli zastrzegł sobie przy ślubie powrót do kraju, skoroby oswobodzonym został. Miłém zapewne będzie czytelnikom widzieć rysy żony tak znakomitego i tak zasłużonego męża, który tylu jaśniał cnotami w całym biegu życia aż do swego zgonu.

* * *

Daniel O'Connel.

I.

Znaną powszechnie jest rzeczą, jak wielkich dopuszczała się Anglia okrucieństw przeciw Irlandyi, jak mordem i pożogą i kunsztownie zrobionym głodem kończyła jéj ujarzmienie, jak bezkarnie wypędzała katolickich posiedzicieli dóbr, ażeby ich własność rozrzucić pomiędzy szczęśliwych awanturników i protestanckich faworytów; wiadomo daléj, ile tysięcy Irlandczyków prawie w niewolę do Indyj zachodnich sprzedała i jak za pomocą wszystkich tych okrutnych środków nareszcie to osiągnęła, że 7 milionów krajowców katolickich zrobiła niewolnikami 1go miliona protestanckich Anglików. Na próżno chwytali rozpaczający Irlandczykowie po kilka kroć za broń przeciwko swym krwawym ciemięzcom, za każdym bowiem razem ulegli przemocy i nowe bezprawia ponosić byli zmuszeni.

Gdy ostatnia rewolucya z r. 1798. przytłumioną została, starała się Anglia nadać dotychczasowemu systemowi uciemiężania przynajmniéj pozór prawny. W czasie tak wojennym, jakim był r. 1800. wymógł Pitt za pomocą nieograniczonego przekupstwa na parlamencie irlandskim, z samych prawie Szkotów i Anglików złożonym, postanowienie połączenia się czyli tak nazwanéj unii z Anglią. W taki sposób znikł nawet ostatni i jedyny pozór prawodawczéj niezależności Irlandczyków, a Anglia nie myślała bynajmniéj o tém, ażeby dane przyrzeczenie nadania równego prawa i wolności, tak jak w Anglii, chociażby częściowo urzeczywistnić. Zwalono prócz tego na Irlandyą ciężar okropny długów, wynoszących około 840 milionów, zamiast 20 milionów, które rzeczywiście sama była zaciągła; nie dozwolono emancypacyi Katolików i nie dopuszczono ich nigdy do głównych urzędów państwa, zastępstwo zaś w parlamencie było nadzwyczaj niedokładne i słabe; podatki wyżéj podniesione aniżeli w bogatéj Anglii, uregulowanie stósunku panów do dzierżawców zostało pozostawione samowolności pierwszych, a hierarchia anglikańskiego kościoła pochłaniała wszelki pieniądz w pocie czoła krwawo przez biednych Katolików zarobiony.

W takim stanie rzeczy zastał O'Connel lud irlandski, biedny i do ostatniéj przyprowadzony nędzy przez łakomych dóbr właścicieli i nienasyconą angielską hierarchią, zdemoralizowany — i w braku wszelkiego wychowania, — prawie do stanu bydląt zniżony. Zgłębiwszy historyą kraju, którego jest synem głównym, zrobił celem życia swego: Zniesienie unii z Anglią i repeal. Doszedł bowiem do tego przekonania, że tylko za pomocą tych dwóch środków i byt materyalny Irlandyi i wykształcenie nieszczęśliwych jéj mieszkańców polepszonym być może. I mężnie walczył ku osiągnieniu tego celu i wiele dokazał.! Jeszcze nigdy nie było człowieka, któryby w pokoju i bez naruszenia praw krajowych, tak ogromną, prawie nie podobną do uwierzenia miał władzę nad ludem, jak Daniel O'Connel, i nigdy nikt szlachetniéj jéj nie użył. Pod jego opiekuńczą tarczą zebrał ojciec Matthew w kilku latach około 5 milionów Irlandczyków pod chorągwie wstrzemięźliwości. Z niezliczonéj massy pijaków, którzy jedynie dla zapomnienia na chwilę najokropniejszéj nędzy, w któréj życie przepędzać musieli, pijaństwu się oddali, stworzył O'Connel w krótkim czasie naród samodzielnych i o zaspokojeniu potrzeb szczérze myślących ludzi!

W młodości wystąpił O'Connel naprzód jako adwokat. Jego piękny organ, jego bystrość umysłu, jego palący dowcip, jego niezrównana znajomość prawa, daléj jego nadzwyczajna wymowa, która jak piorun przeciwników przerażała, ogromną zjednała mu wziętość w narodzie; jego poczciwość i bezinteressowność, jego odważne występowanie przeciw ciemięzcom, zapewniły mu miłość i nieograniczone zaufanie ludu. Partya Oranżystów, która bać go się zaczęła, chcąc się pozbyć tak silnego przeciwnika, poduszczyła na niego znanego zawalidrogę, jakiegoś Esterre, który miał go zaczepić i wyzwać na pojedynek. O'Connel położył przeciwnika trupem na placu i przysiągł zarazem, że nigdy na rozstrzygnienie zwad osobistych broni do ręki nie weźmie. Zycie jego stało się bardzo ważnem dla Irlandyi, a lud przekonał się, że O'Connel jest tą żyłą, która niesie życie całemu organizmowi. O nim można powiedzieć, używając słów Mickiewicza, że: „Ma serce i patrzy w serce!“

Za pomocą wrodzonéj bystrości wnet się przekonał, że tylko przy pomocy wszystkich skoncentrowanych sił Irlandyi, walka przeciwko angielskiéj, w silną falangę połączonéj arystokracyi, do zwycięstwa doprowadzić może. Utworzył na ten cel stowarzyszenia, czyli agita-

cyą, nazwaną — pokojową, i gdyby nic innego nie był uczynił, ten jeden pomysł zdołałby potomność o jego ogromnym, organizacyjnym przekonać talencie. Tak utworzył w roku 1823. stowarzyszenie Katolików, przywiódł obór swój na deputowanego hrabstwa Clare z nadzwyczajną odwagą do skutku i już w r. 1829. zmusił Peel'a i Wellington'a, mimo ich oporu, do przedłożenia parlamentowi prawa o emancypacyą Katolików. Poprzednio wniósł był o zniesienie unii Irlandyi z Anglią w parlamencie, lecz — jak się tego spodziewać było można — wniosek jego nie przeszedł. Walczył on także niezmordowanie o emancypacyą niewolników i Żydów, z wielką gorliwością wspierał Reformbill, z której Irlandya prawie żadnych nie odniosła korzyści, przeprowadził zniżenie dziesięciny o 50 proC., zniesienie 10 protestanckich biskupstw, przytłumienie protestanckich miejskich korporacyj i ustanowienie katolickich sędziów w Irlandyi z nieprzezwyciężoną usilnością i wytrwałością. Od r. 1833. porzucił zupełnie adwokactwo i oddał się całkiem usługom kraju. Lud wyznaczył mu natomiast pensyą nazwaną „O'Connel rente“ w ilości 18,000 funt. szterl. To powodowało wielu do czynienia zarzutów O'Connelowi, lecz zważając na jego wziętość i sławę adwokacką, czyliż mu równéj nie przynosiło summy dawne jego zatrudnienie, które, poświęciwszy się całkiem interessom ludu, porzucić był przymuszony? „Ja jestem najemnym sługą Irlandyi i jestem dumny na ten mój stósunek,“ wyrzekł sam w liście do hr. Schrewsbury pisanym. Któż kiedykolwiek szczérzéj i lepiéj służył krajowi swemu? Wkrótce zapowiedział repeal w całéj Irlandyi, utworzył w r. 1836 tak nazwane Towarzystwo powszechne, potém w roku 1838 Towarzystwo przygotowawcze i nakoniec w r. 1840 prawne narodowe towarzystwo repeal. Celem tych towarzystw było, dać poznać ludowi konieczną potrzebę stowarzyszania się i pozyskać jego uchwałę i udział; zarazem dostarczała opłata od wstępu do tego towarzystwa, którą ile możności bardzo nisko ustanowiono, ażeby każdy mógł mieć udział, potrzebne do osiągnienia celów towarzystwa kapitały. Towarzystwo repeal zaś nie miało na celu politycznego oderwania się od Anglii, tylko pozyskanie własnego parlamentu dla Irlandyi, ażeby ta mogła stanowić prawa, które jéj położenie robi koniecznie potrzebnemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Leon Haber.

(Ciąg dalszy.)

Czy pamiętacie wiosnę 1831 roku. Słońce już nie z ukosa, ale z góry pełną garścią sypało jaskrawe promienie, a przecież jego światło było nie jasne, mgliste, tak jak gdyby mu się szklanemi przypatrywać oczyma. I skowronki nie po swojemu świérgotały, smętniéj i rzewniéj niż zwykle i słowik zawodził. A całą świętą ziemię i wszystek lud Boży jakiś zły duch owionął, niby przeczucie wielkiego nieszczęścia, niby złowróżba śmierci oznaka. W parę tygodni potém czy byliście w mieście. Czy uważaliście to mrowie ludzi, na których czole piętno bojaźni, a w łonie śmierć? Czy przebiegaliście te odludne spacery i miejskie place, te pustkami zaległe świątynie i publiczne gmachy? Czy wcisnęliście się w ten tłum koło aptek, cierpiący całe męczarnie powolnego konania? Rwały się węzły przyjaźni, miłości, uczucia przywiązania rodzicielskiego, dziecięcego stygły od zimnego grobowego oddechu. Syn osłupiały stał zdala od łoża konającéj matki, i kochanek nie całował zsiniałego kochanki lica. Jod i chlorina napełniły powietrze, owionęły ducha, przesiąknęły serce. Oko wszędzie spotykało orszaki smutne, czarnemi obleczone kirami, odprowadzające zmarłych. W pochodzie swoim zderzali się z innemi, smętarze przepełniły się grobami, i brakło miejsca na trupy. Ręce żywych nie starczyły sypać mogił umarłym. Czarne tylko wozy przeciągały ulice miasta; przeraźliwe skrzypienie, jęk dzwonka, budziły mieszkańców domu. Wyrzucali trupa, zapiły woźnica ciągnął go hakiem do swojéj kalwakaty. I powoli przyzwyczajali się wszyscy do tego okropnego stanu, do tego życia, śmierci. Ale i w miastach nie wszyscy stawali się łupem strachu. Były i tam te szczęśliwe charaktery, co i w tém grobowém życiu nie zaparły się wrodzonéj wesołości; co śmierć samą za przedmiot żartów i śmiechu obierały. Cieszyli się z przypadków, które się pijakom wydarzały; z krakowiaków, które do grobów zwożeni zmarli zupełnie karczemną wywodzili nutą. Naśmiewali się z tych, co umierali na samą bojaźń śmierci. Rozweseleni, pełni otuchy, wracali wszyscy do domów. Ale nazajutrz słysząc o zgonie osób, które najwięcéj dowcipkowały wczorajszego wieczora, nie jeden poczuł dreszcz przebiegający członki i rachował się z sumieniem, przypomniał sobie pacierze i zabierał się w pielgrzymkę — daleką. Świeże, zdrowe powietrze na wsi, a może téż żelazne nerwy naszego ludu, oparły się cholerze. Czasem tylko kilku wracających z miasta niedoczekało rana. Ale na tych pierwszych ofiarach kończyły się zwycięstwa moru, dalszych nie czynił postępów. Jednakże przyłączyła się do téj inna równie sroga klęska, co osobliwie wioski dotknęła; tak jak gdyby mściwe nieba ten rok na zagładę naszą przeznaczyły. Bo gdy zawiślańskie rzeki krwawą spłynęły powodzią, gdy nieszczęśliwa Praga i innych osad krocie, jaskrawą przyświecały łuną; a młodzież nasza bohatérską śmiercią okupywała drogo zwycięstwa, z których nie chciano, czy nie umiano ko-

rzystać, cholera wyprawiała po miastach swoje czarne gody, a tutaj po wsiach taki panował głód, jakiego najstarsi ludzie nie zapamiętali. Biedni chłopi odkopywali kilko-letnie kopce zgniłych ziemniaków, rozrywali ścierwa zarażonego bydła. Korzenie i łobody, bywały całotygodniowym pokarmem tysiącznych rodzin, a na śmiecisku bito się z psami o kości. Zboże leżało pod pecki we dworskich szpichlerzach, ale wszyscy lepsi Panowie przeprawili się na tamtą stronę. Ich siostry, żony, same nie mogły dozierać, pomoc udzielona zostawała w ręku sług niepoczciwych, bo poczciwsi poszli z panami. I sypało się żółte zagraniczne złoto za polską białą pszenicę, i Panowie, co po wsiach pozostali, powychodzili na Panków, a ich poddani głodem marli.

W wiosce G.., nad Wisłą, w téj błogosławionéj ziemi, gdzie słomę palą, a topią nawozy, mieszkała w lichéj lepiance uboga rodzina. Co mieli, sprzedali, co mogli, pożyczyli. Głód i drożyzna wszystko pochłonęły. Rano podzielili się kawałkiem chleba, ostatnim. Ojciec poszedł za zarobkiem; matka nie mogła odejść dziecka przy piersi. Kilko-letnia dziewczyna bawiła się z swoim młodziutkim braciszkiem. Już się miało ku wieczorowi, a jeszcze ojca nie było widać. Głód okropny, targający wnętrzności, dokuczał nieszczęśliwym pozostałym w chacie. Chłopczyk przy piersi kwilił z początku, potém zapłakał rzewnie, ale spojrzał w oczy matki. On wygrzany ciepłem jéj łona, wypielęgnowany jéj gorącém tchnieniem, wykarmiony jéj gorzkiemi łzami, snać zrozumiał rozpacz nieszczęśliwéj. Płacz jego zamienił się w głuche jęki. I jak gdyby chciał za to matkę przeprosić, rączętami obejmował jéj szyję, swoją drobną główkę tulił do jéj twarzy. I było coś nadziemskiego w rysach dzieciny. Ta walka ducha, nie zupełnie ujętego zmysłowemi kształty, z bólem fizycznym, nadawała chłopczykowi wyraz, z jakim sobie wystawiam aniołka boleści. Dziewczynka znacznie starsza, tłumiła westchnienia w piersi nabrzękłéj z głodu, połykała łzy, całowała ręce matki, bawiła braciszka. Tak przebyli noc okropną, długą. Już było dobrze ku południowi, gdy ojciec powrócił. Tata, papa! ojcze chleba! powitały go w progu dwa głosy słabe, wydobyte z głębi wątłych piersi. Mężu litości, jęknęła matka. Patrzaj! jacy bledzi, ledwie oddechają; przecież to twoje dzieci, litości nad niemi, litości! Nademną, nademną się zmiłujcie, bo oszaleję. Ot ta odrobina chleba, to wszystko, com zarobić zdołał. Czuć wasze cierpienia, a nie módz im zaradzić; patrzyć na to wasze powolne konanie, ha to nad siły. Boże! Ty to widzisz, Ty, co przyodziewasz lilie; co wróble rachujesz na dachu. Ja możem grzeszny; dobrze, niech ginę konaniem Kaina. Niech pioruny siarczyste palą moje ciało. Ale cóż przewiniły te tu niewinne robaczki? cóż ta nieszczęśliwa kobieta? I wypadł za drzwi. Biegł szalonym pędem. Ale gasnące siły zmusiły go do zwolnienia kroku, zataczał w koło wściekłemi oczyma, to znowu martwo jak upiór niemi spoglądał. Upadał i wił się po ziemi w kurczowych bólach. To znowu rzucił się kilka kroków naprzód, gdy cierpienie umysłu fizyczną boleść przemogło. Doczołgał się w ten sposób do pańskiego szpichrza. Oczy mu słupem stanęły, konwulsyjnie tłukł rękami, ciskał całém ciałem. Po chwili minął i ten napad, ustała nawet walka uczucia z czuciem, rozpaczy z głodem. Gwałtownie, zwierzęco wściekle rzucił się na skibę łupkowatéj gliny, połykał całe bryły. Podniósł się raz jeszcze, obrócił w stronę swojéj chaty, załamał ręce, przeżegnał, i padł bez zmysłów. W takich męczarniach ginęli, w najżyzniejszéj ze wszystkich okolic, najpracowitsi rolnicy. Koło ładownego szpichrza ginęli z głodu ci, których krwawym potem nagromadziły się owe zapasy. A naszą białą pszenicę za granicę wywieźli, a zły Pan złoto holenderskie na kartę postawił, lub przechulał w mieście, a może też sobie jaką setkę ludzi dokupił, których pracą napełni nowe szpichrze, a którym przed szpichlerzem z głodu mrzeć dozwoli.

Zdarzenie tutaj opowiedziane jest prawdziwe, zdarza się często. Tego roku powtórzyło się także. Pomimowolnie ciśnie się tutaj uwaga, jak niedostatecznym hamulcem na przestępstwa są wszystkie karne systemy. Cóż na przykład człowieka, konającego z głodu, zmusza do szanowania cudzéj własności, czy bojaźń śmierci, czy kaźni. On umrze za chwilę, a najsroższe tortury w swym stanie ponosi. Nie wieleby pomogły społeczeństwu więzienia, gdyby o prawości praw wątpić zaczęto.

Przeszłego roku po żniwach przejeżdżał jednę nadwiślańską wioskę Radzca sądu karnego Rzeszowskiego: „Niechaj będzie pochwalony!“ powitał go chłopek. — „Zdaje mi się, żem cię gdzieś widział,“ odpowiedział mu Radzca. — „O my się znamy Panie Konsyliarzu,“ odparł chłopek, „a jeżeli będzie ciężki przednowek, to ja tam nie długo znajomość z Panami odnowię.“ Tę rozmowę powtarzają dosyć często, dowodząc nią niedostateczność kary wymierzanéj. Rzecz szczególna, że tak rzadko wpadają na myśl odwrotną. Że niechcą stanu nieszczęśliwych tak polepszyć, aby utrata wolności i ograniczenie na potrzeby życia najkonieczniejsze prawdziwą dla nich były karą. Nie uważają, że powiększając kary za mniejsze przewinienia, za większe zbrodnie wypadałoby jednego winowajcę kilkadziesiąt razy kołem łamać lub ćwiertować, a to mimo najszczerszych chęci niepodobna.

Ale wróćmy do naszéj nieszczęśliwéj rodziny. Matka z dwojgiem dzieci rzuciła się ze



Daniel O'Connel.

zwierzęcą łakomością na kawałek chleba, który jéj mąż przyniósł. Nie uważała jak wyszedł, nie przypatrzyła mu się bliżéj, byłaby poznała ślad głodu w jego twarzy. Byłaby się dowiedziała, że nie chcąc zmniejszać posiłku żony i dzieci, pomimo męczarni nie ułamał ani kawałka chleba. Spostrzegłszy nieobecność męża, wybiegła za nim. Całą wieś przeleciała na próżno, nigdzie się nie mogła o niego dopytać, uspokoiła się, że znowu poszedł na zarobek, i wróciła do dzieci. Minęła noc w oczekiwaniu, a i na drugi dzień mąż nie przychodził. Coraz bardziéj rosła niespokojność małżonki, coraz głębiéj i smutniéj napawało ją jakieś złowrogie o jego losie przeczucie. Ale te niepewne myśli tkliwéj kochającéj żony, ustąpiły nie długo téj okropnéj pewności, co ją otaczała. Dziécię znowu jęczało, znowu załamywało rączęta i tuliło się do piersi matki, ale tylko kilka kropli krwi wyssało, pokarmu nie mogło wycisnąć. Starsza dziewczyna osłabła długiém wymorzeniem, zwiesiła główkę na prawą stronę, wlepiła wzrok w oczy matki, zmuszała sine usta do śmiechu, do śmiechu okropnego. Tak się może i młodzieniec zaśmieje, gdy ujrzy swoją kochankę w objęciach drugiego. Tak ochotnik, gdy za późno zleci na pole bitwy, stanowiące o losie ojczyzny. Tak się i żołnierz zaśmieje, jeżeli chytrze złudzony musi strzaskać broń, narzędzie nieśmiertelnéj sławy, lub oddać wrogowi krwawo na nim zdobyte działa. Tak się i trup zaśmieje, jeżeli

w męczarniach skonał. A matka, o! jéj katuszę opisać się nie ośmielę. Jéj serce drgało konwulsyjnie każdym jękiem chłopczyka, każdém westchnieniem dziewczynki. Jéj rysy osłupiałe i stężałe rospaczą, w dwa tylko kurczyły się kształty. Czasem wyrażały przechodzenie rospaczy w złość, wściekłość. To znowu padała na kolana, modliła się Bogu, ale i w téj modle więcéj już było bluźnierstwa niż wiary. Biła ręką piersi, ale głową tłukła ściany, padała krzyżem, ale próg się krwawił od rozbitéj skroni. Chodźmy Helenko jeszcze raz do nich! nagle zawołała. Porwała na ręce dziécię i pobiegła jak szalona. Helenka zwlokła się z ławki, osunęła przy drzwiach, i padła przed progiem. Nieszczęśliwa matka wpadła do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

Paprzyca, leżąc pod murem w ogrodzie, skrzesał sobie ognia i jeden z owych włosów, co mu konie dały, zatlił; a tu zaraz stawił się koń dzielny, i przyniósł na sobie drogie odzienie i kulbaki. — Paprzyca ustroił się, wsiadł na konia i po prosie w koło jeździł, tak, że je w niwecz zdeptał. Królowna przyglądała się temu w oknie, i widziała jak zaś koń zniknął; — lecz choć jéj to było bardzo dziwno, nic jednak rodzicom o tém nie powiedziała. — Ogrodnik zaś skarżył się przed królem, że przez niedbalstwo Paprzycy proso zniszczone. — Król odpowiedział: „I cóż z nim robić, może spał, trzeba mu przebaczyć.“ — Na drugi dzień proso jeszcze piękniejsze było. — W tydzień potém, król znowu do kościoła wyjeżdżał i najmłodszą córkę chciał wziąć z sobą, ale ona wymawiała się, że jest niemocną, i w domu zostać musi; ogrodnikowi jeszcze wypadło za lokaja do kościoła z królem jechać; przykazał więc Paprzycy wprzód ostro, aby był na proso baczniejszy. — Paprzyca znowu użył drugiego włosa, wedle przepisu, i proso jak wprzód ztratował. — Królowna tę jazdę całą i młodzieńca cudnego widziała, ale tego nie mogła dostrzedz, aby to był Paprzyca. — Ogrodnik wróciwszy, znowu znalazł proso z ziemią zrównane; zaniósł przeto skargę przed króla, ale go król jak wprzód odprawił; a gdy proso na drugi dzień piękniejsze obaczył, surowo go zgromił. — Znowu zaś na trzecią niedzielę, gdy się król do kościoła wybierał, najmłodsza córka chorą się uczyniła. — Jeździec jako rycerz cudnéj urody i najpiękniéj wystrojony, proso przed jéj oczami wdeptał do ziemi, tak, że ani znaku nie było; ogrodnik skarżył to królowi, ale król powolny kary nie wyznaczył i jeszcze na ogrodnika bardzo się obruszył, gdy dnia następnego proso do żniwa zdatne i najpiękniejsze obaczył.

Po niejakim czasie, kazał król ogłosić, że ma wolą wszystkie trzy córki swoje za mąż wydać, i że wolno będzie ubiegać się o każdéj z nich rękę, w dniu naznaczonym wszystkim walecznym książętom i rycerzom. — Dał téż król zrobić trzy złote jabłka i dał każdéj córce jedno z temi słowy: „Któremu je oddasz, ten ma być mężem twoim.“

Ze wszystkich stron świata zjechało się rycerstwo, bo panny były cudnéj urody; w dniu przeznaczonym stanęli wszyscy szeregami. — Najstarsza córka szła naprzód; obejrzała sobie wszystkich i dała złote jabłko jednemu. — Druga szła za nią i to samo uczyniła. — Najmłodsza szła po kilka razy między szeregami, ale żadnemu złotego jabłka nie dała; było to znakiem, że jéj się żaden z rycerzy nie podobał. — Król zdziwił się nad tém wielce, gdyż sobie życzył, aby wszystkie trzy wesoła razem odprawowane (*) były. — Ogłosił tedy zjazd nowy, na który i rzemieślnikom stawić się dozwolił. — Stanęło tedy powtórnie kilkuset młodzieńców, ale królowna znowu żadnemu złotego jabłka nie dała. — Król wtedy nie wiedział, coby czynić, i radził się ministrów; ci rzekli mu: „Jeżelić tedy królowna gardzi tylu zacnemi młodziany, trzebać jéj na ukaranie zwołać teraz wszystkich sług dworskich.“ — Tak się téż stało. Gdy stanęli w szeregach, król pytał, czy żadnego nie brakuje? przypomniało się wtedy wszystkim, że Paprzycy jeszcze nie było. Daléj po niego i stawiano go do rzędu. Kiedy królowna przeszła szeregi tam i napowrót, ujrzała między nimi Paprzycę, i wnet, nie namyślając się długo, oddała mu złote jabłko. — Powstał ztąd śmiech wielki, ale król naznaczył im dzień ślubu. — Mężów dwóch starszych córek wziął do swego pałacu. — Paprzycy zaś i żonie jego wyznaczył mieszkanie w psiarni. — Paprzycowa znosiła wszystkie te obelgi cierpliwie, bo męża szczerze kochała. — Nie długo potém, wypowiedział król sąsiedniemu królowi wojnę; warunek był taki, że się wojska ich przez trzy dni tylko spotykać mają; a któreby wojsko dnia trzeciego zwyciężyło, ten wojnę wygra.

Król zgromadził wojska swoje, dwaj zięciowie także się z nim wybierali. — Paprzyca prosił króla bardzo, aby mu téż konia dano; — dwaj szwagrowie jego śmiali się bardzo z takiéj prośby, i król sam mówił: „Zostań ty lepiéj w domu, i miéj dozór nad psami memi.“ — Lecz gdy Paprzyca prosić nie przestawał, radzili tedy jego szwagrowie królowi, aby mu dał onego kulawego konia, co się pasł na łące; mówiąc: „Wszak, nim on na nim przyjedzie, to się i wojna już skończy, a tak nam sro-

(*) Odprawowane, znaczy: odprawiane.

moty nie zrobi.“ — Dano tedy Paprzycy tego konia i wyjechał za wojskiem. — Gdy już był za miastem, skrzesał sobie ognia, zatlił włos, i zaraz stanął przed nim koń piękny, niosący na sobie pancerze i zbroje wszelakie z bronią. Uwiązał tedy kulawego u drzewa, a sam przybrawszy się jak rycerz, wsiadł na owego tęgiego rumaka i ruszył za wojskiem. — Widzi zdaleka przemoc nieprzyjaciół, wielkie zamieszanie w wojsku ojca swéj żony, a jego samego w niebezpieczeństwie zabicia lub pojmania. — Paprzyca przybiegłszy jako rycerz odważny, uszykował wojsko, i króla z niebezpieczeństwa wybawił; ale w téj potrzebie ranił się cokolwiek w palec. — Król widząc, że mu cokolwiek krew ciekła, rozdarł na poły swą chustkę z kieszeni i dawszy rycerzowi nieznajomemu jednę połowę, aby sobie nią rękę obwiązał, dziękował mu za dzielną pomoc, i pytał o jego imię; ale paprzyca się z tém zataił, i zginął nieznacznie w tłumie wojska. — Rycerze potém wrócili na zamek do króla, który ich chojnie częstował. — Nie rychło za nimi przywlekł się i Paprzyca na swoim kulawym koniu; — dopierożto wtedy jęli się szwagrowie z niego naśmiewać, i o rycerskie czyny pytać. — Paprzyca spokojnie znosił drwinki, i kontentował się z żoną tém, co mu ze stołu przysłali; ale potém namówił żonę, żeby tę połowę chustki królewskiéj, którą miał palec obwinięty, przy ręczniku królewskim przypięła. — Król zastanowił się nad tém, ale nie miał czasu i pytać się o to, jak się tam ta połówka do niego dostała? gdyż się gotował do boju. — Drugiego dnia zaś trzeba było na wojnę ruszać. — Paprzyca prosił znowu, aby i on mógł jechać; król nie bronił. — Paprzyca postąpiwszy sobie tak jako wczoraj, wnet na plac przybył, i tak jak wczoraj mężnie się popisywał. — Lecz znowu skaleczył się w palec tak, że mu krew ciec poczęła; król sam zawinął mu palec, i prosił wielce do siebie na zamek; lecz Paprzyca w tłumie zginął; — a gdy jak wczoraj rycerze na zamku bankietowali, on żonie swojéj znowu połowę owéj chustki kazał przypiąć przy ręczniku królewskim. — Dzień trzeci miał całą sprawę wojenną rozstrzygnąć; — paprzyca w tym dniu jeszcze więcéj dokazywał, króla tak dobrze już jak pojmanego odbił i jako dowódzca rozumny, wojsko nieprzyjacielskie do ucieczki zmusił; za co mu znowu król wielce dziękował, i na znak swéj łaski pierścień z palca swojego zdiąwszy, na jego palec włożył; lecz nieznajomy rycerz jeszcze się zataił i prosił tylko swojéj żony, ażeby ten pierścień nieznacznie w umywalni królewskiéj położyła. — Nie wątpiła ona już teraz wcale o męztwie swojego męża, przecież czegoby tysiąc innych nie potrafiło, umiała milczeć i wypadku spokojnie czekać. — Król zobaczywszy pierścień na umywalni, zdziwił się mocno, i zawołał zacnych dwóch zięciów, pytając, czyby nie wiedzieli, co to znaczy? — Oni odpowiedzieli: „Ze nie inaczéj być musi, tylko że anioł do zwycięztwa tego się przyczynił;“ ale szydersko dołożyli: „Trzebaby zawołać Paprzycy, to się on pewno do tych czynów przyzna.“ — Król tak zrobił, i pytał go: „Czyliś ty w umywalni mojéj zawiesił przy ręczniku połówkę chustki mojéj?“ — Paprzyca odpowiedział: „Nie ja, ale żona moja.“ — Król pytał o drugie zawieszenie chustki i o pierścień, a Paprzyca to samo odpowiedział. — Wtedy to dopiero zaczęli szwagrowie z niego drwić, i naigrawać się; — on zaś im rzekł: „Jeżli wątpicie o mojém męztwie, chodźcież obaj na plac zamkowy do walki, a przyrzekam, że obydwóch was na raz położę.“ — Z razu im się to nie zdało, i żartami chcieli go zbyć, ale, gdy król tego żądał, musieli się skłonić. — Paprzyca zatlił włos i wnet stanął przed nim koń dzielny, przynosząc na sobie zbroję i broń wszelaką. — Paprzyca przybrał się jak rycerz, zrzuciwszy z głowy i ręki obwinięcia, a zaraz wszyscy przyglądacze poczęli się dziwować jego złotym włosom. — Wyjechali też wnet na koniach i w zbrojach jego dwaj szwagrowie i zaraz na niego z kopyta zacięcie uderzyli; on zaś ledwie machnął parę razy swoim mieczem, a już głowy jednego i drugiego szwagra na ziemi leżały. — Poczém oznajmiwszy swój ród królewski, był zaraz koroną ozdobiony, i od króla z wielkim respektem przyjęty. — Koń ów, który mu dotąd służył, podziękował mu teraz, i oznajmił: Że on i bracia jego odtąd służyć mu już nie mogą, gdyż jako wyzwoleni z zaklęcia do dóbr swoich wracają.

Przysłowia.

Świat jak las, człowiek jak liść.

Kto chce mieć dobrą kochankę,
Niech sobie wybierze Kaliszankę.

Leniwego i mąka w ręce kole.

Chodzi po świecie i psy drażni, goni.

Broda stanie dziadowi za stodołę.

Czém krzywiéj, tém śmieszniéj.

Nie śpiewaj jedząc, bo głupią żonę dostaniesz.

Elegant z mogiły, co mu ślépie wygniły.

Strzelec ptaka zabije, a cielę zje.

W.*

Piosnki ludu wielkopolskiego ze zbioru (1) Fr. Wawrowskiego.

O Gogolewskim.

(Historyczna.) (2)

Gogolewski jedzie,
Trzysta koni wiedzie;
Poczekaj ty Gogolewski,
Nie twoje to będzie.
Podaj chłopcze konia,
Podaj mi gniadego;
Pojadę, przeproszę
Marszałka mojego.
Podaj chłopcze konia,
Podaj mi karego,
Pojadę, przeproszę,
Choć Króla samego.
Podaj chłopcze skrzypce,
Podaj mi te moje,
Zaśpiewam, zagraję,
Na tę śmierć, na swoję.
Gogolewskiego wzięto,
Głowę mu ucięto.
Gogolewskiego nogi,
Złote ostrogi,
Już nie będą zachodziły
Marszałkowi drogi.
Gogolewskiego ręce,
Złote pierścieńce,
Już nie będą wymachiwać
Szablą na wojence.
Gogolewskiego oczy,
. . . .
Już nie będą wyględywać
Gdzie się wojna toczy.
Gogolewskiego uszy,
. . . .
Już nie będą wysłuchiwać,
Zkąd się wojna ruszy.

(1) Drukuje się u I. K. Żupańskiego w Poznaniu.
(2) Pamiętniki Kitowicza do panow. Augusta III. i Stan. Augusta str. 128., 137. wydanie A. Woykowskiego.



№ 146. PIOSNKA PIJACKA *z okręgu Krakowskiego.*

Kumo- sia kumosi gorza- leczkę nosi. Jakże nie ma nosić kiej ją o to prosi.

A moja kumosiu na- pij- my się obie Bo nam tam niedadzą gorzałeczki w grobie.

Text do *Nru. 146.*

Kumosia kumosi gorzałeczkę nosi;
Jakże nie ma nosić, kiej ją o to prosi.
A moja kumosiu napijmy się obie,
Bo nam tam nie dadzą gorzałeczki w grobie.
Gorzałeczki w grobie, gorzałeczki w Rzymie,
Już nam tam nie dadzą, jak się która zdrzymie.
Gorzałeczka z wyką, ja ją rada łykam,
Jak przyjdzie zapłacić, to ja się umykam.
(*J. Konopka,* P. l. kr. str. 249.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)